

zakresy amputacji
anna palewicz

*Patience my tinsel angel
Patience my perfumed child
One day they really love you
You'll charm them with that smile
But for now it's just another Chelsea Monday*

Marillion

Eli, Eli, lama sabachthani?

Mt 27, 46; Mk 15, 34

kiedyś

Pamięć to rzecz okrutna.

Przed oczami daty kaźni, holokaust dzieciństwa i do końca nie wypowiedziane słowa. Berek!

Wykształceni naziści też kochali zwierzęta, a mama mawiała, że porządek być musi.

Uderzamy więc klasycznie, z powtarzalnością metronomu.

Czas ogranicza - ofiary depcze się coraz częściej po prostu współczuciem.

Miłość przeliczamy na kalkulatorze dziwki, szyderstwo pokrywa rozpacz. Nie dorastamy do naszych pragnień tak samo jak ci, których odrzucamy. Nad wszystkim widmo ręki boskiej i zagadka logiczna - gdyby tak każda krzywda została pomszczona - czyż ostałby się jeden sprawiedliwy?

Zobacz jak wiwatują: Niech żyje ekonomia ludzkich gestów i polityka "do dna"!

Prosto w twarz strzelają riposty, lecz makijaż błazna przywarł tak mocno, że nie da się zabić ego.

Tylko niezwykle przypadek może nas ocalić.

Gdy odpierdoli nam wszystkim, wreszcie będziemy szczęśliwi.

faryzeusze

bądź samotny nieudany chłopcze.

niech strata tego, co najbardziej kochasz,

będzie karą za wszystkie brzydkie kaczątka.

nagrodą za przesolone życie

rozbicie w pył marzeń lalek i badbojów.

zostawiam wam tatuaż euforii i kazanie - na górze

- nie będziesz kochał bliźniego, po którym masz blizny.

wdowi grosik

rozmowy tak liryczne

jak fejkowe konto na fejsbuku.

nikt przecież nie odpowiada za urojenia.

jedynie milczący tłum wydeptuje taniec

na trzy niebożęta.

nie będziesz wynosił się ponad szklanke
do połowy pełną łez,

co najwyżej obrabujesz primadonny z resztek.
romantyzmu, aplauzu, nadziei.
echo „jak to możliwe?” będzie twoją najpiękniejszą melodią.

samarytanie

patrzę jak dojrzewają jabłonie
czerwieni się Jezus wystrugany
na przesolone żarcie

robaczywa uroda wygląda z kieliszka
a słodkie dziunie doznają objawienia
w darowanej pościeli

nie będziesz spać, póki źródółko nie wyschnie.

kryzysowe credo

z trudem się otwiera porankiem powieka,
kiedy ciało śniło słodko wieczór cały.
przeklęty niech będzie rastaman poeta -
mówić już nie wolno, milczeć pozostało.

wracać do zacisza jesiennej alkowy.
porzucić wspomnienia gorących eskapad. nie przykładać wagi do kwiecistej mowy.
dzisiaj nawet wierszy pisać nie wypada.

wykuć za to trzeba słowa literata,
że czego nie było, tego być nie miało.
ufać doświadczeniu tam, gdzie intuicję
za nos wodzi próżność - byle nie bolało.

ballada o miłości

nie poświęca się wersów do późna składanych,
inwestorom z krainy „rżnięcie za waciki”.
schemat jednak zbyt nadinterpretowany,
gdy pomocy trzeba, a ktoś żąda cipki.

więc do dzieła baby! rzucajcie nazwiska!
ile się nasłuchać musiałaś za kromkę
chleba, którym dzielić każe się moc boska,
o swoim lenistwie, wyciągniętej ręce?

ile razy padło, jesteś taką łajzą,
że, jeśli nie ja, nikt ciebie nie zechce.
weź sobie mądrzejsze od ciebie za przykład,
biorąc mnie za męża, w dostatku żyć będziesz.

tylko pokaż cycka kawałek misiowi!
wtedy cię nie będzie już nic ograniczać.

dostaniesz sukienki, majteczki i fajki,
ludzie, jako moją, będą cię szanować!

takie to bajanie niejedna słyszała
desperatka z kart historii wyrzucona.
miłość? jaka miłość? chyba tylko w książkach!
zostań ze mną mała albo z głodu konaj!

została więc panna, iskierek nie szuka
ani księcia z bajki - ma już kawalera
i tylko powtarza - „jeszcze raz wytrzymam”,
kiedy pan i władca się do niej dobiera.

królestwo vanitas

skłamię, gdy głowę rozedrze krzyk, nieznośny
jęk zawodzących wdów. pajęczę nici rozciągnę, plotąc
trzy po trzy i na krzyż dziergając znaczenia.
pokażę ci sinusoidę losu. wieszczka – powiesz, wydymając usta.
ja pozostanę zadumana w dwuznaczności.
zmęcę cię, pamięcią wyrzeczeń i filozoficznym
panta rhei. któregoś dnia odleczę.

nieopodal. moje nieporadne anioły
będą zdobić pokoje dzieci, a Mikołaj da papierosa
podczas skromnej Wigilii. jeszcze tylko przywłaszczę sobie poezję
jakiegoś mistrza i rozpocznę nowy rozdział.
tylko odwilż mnie na powiekach,
a kluczem słów zaplątana przeczekam do wiosny.

Wariacje. Kurt Cobain pisze list do Tobi Vail

Pieprzyłem tyle gwiazd, że zbladło wspomnienie anielskich włosów,
rozkładających się łuną na materacu w kawalerce przy Random Road.
Wczoraj dostałem zdjęcie z twojego wesela i stało się jasne,
że przełknąłem cię za szybko.
Nadal pachniesz dezodorantem dla nastolatek, kupujesz super slimy i żółte szczoteczki do zębów?
Nadal krzyczysz głośno, nie tylko po północy, a przed lustrem
odgrywasz Barbrę Streisand z The way we were?
Patrzyłem na czerwień twojej spódnicy. Ten kolor na uroczystość jakże tradycyjną.
Mawiałaś: „panna młoda w bieli, w miesiąc się ocieli” zakładając wianek, подарowany ci dawno
temu
przez babkę, a potem tańczyłaś. Moja, mała narwana różo, tak bardzo potrzebuję rewolweru, teraz,
gdy
fioletowe paznokcie sławy wbiły się tak głęboko,
że tylko twoje, oddalone oczy powstrzymują mnie przed opuszczeniem, kurtyny.
Księżniczko rewolucji stań się ciałem. Udowodnij, że można podróżować w czasie do wiecznego
teraz,
gdzie brudów nie zamiata się pod dywan.
Tylko nocami otwieram. Rany, jak kolejna butelka wina.

na przedmieściach zegar nie wybił jutra

nastrój? on - czerwień młodych ust
ubierze w celebrację spojrzeń i zniknie
sadza smutku na ceglanym murze
zostaną apartamenty
czas nada znaczenie kolejności

ale na razie przeklęte starością podszewki
na wszelki dopust boży zostają kobiety jak dęby
spróchniałe czekaniem

Publikacja: Akant 2016.

pokój lalek

wszystkie zdjęcia z dzieciństwa
przełykam ze świstem
rozciągnięty uśmiech
drażni zgrzytając maską

wbijam szpilki w małe buźki
intymna gra na potomstwie
za wszystkie winy nie-boskie prawo
niech się wypełni

krzyż to szlachetność tylko
na ekranach kin – tam okularnica
zostaje królową balu
zawsze jednak pamięta

siostry

Zbierałam traumy jak znaczki.
Modlitwy o wyrównanie rachunków
chowałam między kartki książek.

Silne, bohaterskie dziewczęta
w finale zawsze stają na podium,
depcząc wyniosłą królową.

Dziś znana felietonistka publicznie upokarza kochanka.
W konkursach wygrywa nepotyzm, a za twój ból ktoś inny zgrania wierszówkę.

Nie dziw się więc, gdy odbiorę, co moje. Nie, nawet nie kochałam. Ot romans, twoja miłość, twoje
zmarszczki, moja zemsta.
Coraz chłodniej tego lata.

awans

kwaśny uśmiech small-talk
zwodzi czas partykuła przecząca
gdy wymawiasz zaufanie podniesionym słowem używaj kondoma ćwicząc
podglądanie cudzych błędów
na szklankę pełną prawdy trzeba się nieźle podkładać.

zaszczepiny

Nie ociągaj się z obciążaniem, bo co to zmienia?
Sława to narkotyk doskonały jak uwiedzenie nieletniej.
Historie pięciominutowych sukcesów. Eksploduje supernowa.
Pan pozwól tutaj. Żarty się skończyły.
Dział marketingu repositionuje markę. Tylko znane nazwiska.
Aleja gwiazd jak prowincjonalna autostrada. W plastikowych workach resztki marzeń.
Nagie ciała i półprawdy rzygane przypadkowym słuchaczom.
„I did it my way”. Estrada ostro nagina logikę.
Sny o potędze w tabletkach z napisem „dzikość”.
Podwójna dawka gówna za nagrodę prezydenta.
Zawsze to lepsze niż być bezdomnym magistrzem.
Tacy jak on nie pasują już do minimalistycznej meblościanki starych dobrych znajomych.

czekając żółtego października

"Where you gonna go with that gun in your hand"
Słowa furkoczą jak pościel w zapomnianej oficynie.
Czas zatrzymał się na wietrze pogody.
Sznurami snute wspomnienia i coraz mniej słuchaczy.
Niezmienność reguł, etatów i drugi sort celebrytów. W lokalnych aulach odwieczna melodia.
Adonai! Każdy ma taki obłęd, za jaki ktoś zapłaci.

uwważaj

nie rój więcej pragnień swoich tak naocznie.
słodko-gorzki wieczór budzi stare żądze.
namiętniej! jak oczy zazdrosne czy łuska w przelocie
zrzuciona, przypadkiem – brzmisz coraz żarłoczniej!

zostań! nim zadnieje, odhacz fantazmaty,
noce zapisane piórem samotności.
niechże już szaleństwo wśród nas się rozgości!
wypijmy, nie licząc na kolejne puenty.

te będą pytaniem - czy mówić, gdy w słowach,
kły szarpia trzewia, serce łka o lirę?
nie mów więcej, proszę, chcę tkać znowu wiosnę,
pogubić złudzenia jak szaliki w zimie.

lokalna toaleta

przeszłość jak szkarłatna litera
w zapiździu na prawach powiatu
panoszy się buta spod bloku
tandetna jak trzy paski, tanie szpile i pierścioneł
z napisem love

lafiryndy i tumany linczują wrażliwość
potrójną taryfą kpin w imię boga ojca

odcinam kupony od dopasowania
do pokrytych pudrem brązującym dzieł wyuzdanej elokwencji
złożonej ze zdań najczęściej wielokrotnie zbyt prostych.

lafiryndy i tumany - oni zawsze tu zostaną.

gry zespołowe

łowię zmiany kursu i wymiany płynów
za zwitek banknotów zostawionych barmanowi
a ty krążysz cały wieczór po mojej orbicie
mebla dziś wyjątkowo udekorowanego

widzę że masz ten styl wyprawy w nieznane
zakamarki nietanich pokoi hotelowych
gdzie słodkie dziewczęta spływają kroplami
kradnąc po wszystkim mydélko z umywalki

nad ranem płacisz rachunek złotą kartą
dając na taksówkę na otarcie łez
monopol nie wchodzi w grę lecz koncesja
byłaby do załatwienia jedną ręką

skiniesz i bierzesz co twoje i co się nawija
więc nawijasz i owijasz całkiem nieźle
aż wielkookie siksy zapominają
że miały wrócić o 22 i odrobić lekcje

być może ty również odrobisz dziś swoją
czarną polewkę zlizując z mych ust

Szkic. Siedem lat chudych

marginesy znaczone tuszem marzeń.
z każdym słowem szarpie usta maraton myśli,
nagich
wspomnień i okrągłych obietnic -
aż przestrzenie między nami pokryją się pyłem.
na razie mówisz, żeby nie było tak jak teraz.
nie patrząc na brudne ściany, znoszoną bieliznę i wystawne resztki.
ryż ze szpinakiem - rarytas!
nasze tete-a-tete w rytmie spieprzonego świata.
uśmiech stosowny na lepsze jutro
zostawiasz odcisniety w moich oczach. na chwilę,
zanim zrozumieć, że gra pozorów jest twoją ulubioną melodią

Kontur. Zanim się obudzę

Nie jest to wyznanie, jedynie nurt wspomnień.
Rzucony na taśmę wolny gest Rejtana.
Jesteś? Czy cię nie ma? Plotę czyś wpleciony?
Które linie wersów dziś dla ciebie składam?

Czy miliony zdarzeń przebieram – nic więcej?
Łącząc ludzi, fakty, emocje i myśli.

Wierząc w sztuki z życiem więzy niepojęte
Oraz lepszy efekt, gdy się afekt wyśni?

Tamtego wieczoru lat dawno minionych
Miejsce miała kwestia dziś mało istotna.
Pewnie nie pamiętasz – tak byłeś pijany,
Ja wzięłam za drwinę słowo zawieszzone.

Jednak czasem wkładam podrabiane złoto.
Bywają też targi o schody do nieba.
Nie będę kłamała, że szłabym piechotą,
Kiedy w dobrym wozie puls nabiera tempa.

Sonetu nie będzie – doskonale wiemy.
Tym bardziej szokuje kolejny komplement.
Gdy w przelocie słówek w podobną grę gramy
Nadinterpretacji intencji i znaczeń.

Masek nam przybywa, tylko frazy inne.
Chociaż zawsze w cenie mistrzowie bon motów.
Zbyt dawno straciłam rozmarzone oczy,
Aby się spodziewać spóźnionych zalotów.

Wzrok nie patrzy już tam, gdzie sięga niewinność.
Zmęczona kobieta szary kaptur wkłada.
W samotnej wędrówce chcę mniej mieć gorzycy,
Wymodlić twe usta, choć już nie wypada.

Fosfor i Krzem. Modlitwa.

W skali 1 do 5 - jak bardzo mogę na ciebie liczyć?
Gdy dodam zdjęcie w bieliźnie, czy moje szanse wzrosną?
Hot or not jest twoja dusza?
W zimnych miejscach umierają ludzie w pustych sercach.
Sąsiad pali kolejnego papierosa. Żona przyspawana do ekranu. Znów lajk, znów koleżanka.
W skali od 1 do 5 brakuje mi skali.
Niech będzie szóstka. Razy trzy pocałunki Judasza.

zaklęta

spiralnie układam życie
choć chciałoby się wiecznego teraz
lecz to już tylko resztki
z pańskiego stołu wspomnienia
niewymienne na ślubną fotografię
gromadkę dzieci i spacer do tesco
szczyty romantyzmu
twardzieli w bejsbolówkach
tylko kot się łąsi
a jesień dobija się i dobija
z wirem ostatnich liści
kropla po kropli zamarzam

dzielnica

znów zasnąłam na prochach nad ranem,

świeże bułki jak łut szczęścia przeszły koło nosa.
w radio grają to samo od tygodni, to i tak,
o niebo, lepiej niż u sąsiadów.
kawę z mleczkiem podaję sobie sama, w małej czarnej
nie mieści się mania mej wielkości.
przesuwając butem buca na klatce schodowej,
podążam wśród kamienic w jesiennej szarudze.
sklepowe wystawy w pobliskiej galerii
oglądam z nabożnością od lat bezrobotnej.
zbieram żniwo chwały brzękiem szklanek
i kieliszków skrzącej się przeszłości
w skrzynce kilka listów, żaden z nich miłosny,
na stole rachunki, popiół, sztuczne kwiaty.
donikąd nie zmierzam już, bo nie mam siły,
pustka z lękiem się miesza, gdy ci, co zostali,
odejdą ze świata.
resztki na dobranoc
marzeń (których marzeń?)
przerywa życie nocne spod piątki,
bumtarara.
jeszcze nie dziś, wytrzymam.
(zima 2013)

w tym domu nikt nie mieszka

okiennice odbijają światło, nie zanosi się jednak na pogodę,
ducha tym bardziej, więc gdyby tak zawetować porządek,
choć częściej to po prostu jest burdel i oko za oko losie, któryś
dostroił mnie do pieśni: *ave hikikomori, wszystko marność*.
wysoki sędzie ten Łazarz nie będzie zbawiony,
przygotuj szubienicę, skoro i tak oszczędzasz.
katem będę sobie sama.

projekcje

odpalam papierosa - spróbuj zdmuchnąć płomień.
zobacz, co się stanie.
niepotrzebne będą usługowe zapalniczki.
drze z zimna, a mówią, że złocieję
z czasem, jednak tętnice nadal wabią.
coraz więcej słów wycinam.
tylko milczenie do ostatniej kropli. wina
moja lub twoja. przegadana opowieść toczy się,
gdy parkiet wiruje w głowach.
to fantasmagoria z neonem *młodość*.
powiadają *zostawia rachunki*.
z odroczonej płatnością, nie do wyrównania
przed wielkim komornikiem. to jednak potem,
teraz, pracujemy na permanentną niewydolność
mięśnia coraz częściej składanego
ze znaków matematycznych

miłość w łądku zdroju

Chodzę po twojej lepszej stronie.
Docieramy dokładnie do butów.
Liczę zmysły nie na miejscu. Zamiast proroczego domu dance macabre w kubku pożądania.
Woda za wodę, ziarno do ziarna.
Wstyd koloru świeżo palonych dolarów kanadyjskich.
Między nami nic. Rozpościera ręce.

solo na bańnie mydlane (opublikowane jako „smyki i wiolonczele”) Akant 11/2016

kiedy szarówka zasnuwa przestrzenie, myślę nutami,
łuskając znaczenia jak niedojrzałe orzechy.
płomieni winorośl usta, lecz stracony weekend trwa
o wiele dłużej. rozumu niespełna pół-boginka
błaga – nalej do pełna i zatańcz mnie do ostatniej złotówki.
odpowiadam jej echem snów, zgrzytając nad ranem
goryczą zawieszanej płyty.
barwy podstawowe coraz bardziej blakną.
cienie przeszłości szykują się do manewrow na sumieniu,
a żałobny kir coraz szczelniej otula resztki *młodości*.

tango na dwie ręce i klawiaturę

wolę osobno
każdy w swoją stronę i delete na drogę,
choć częściej chciałoby się z czapki, ale cóż robić
w epoce techno(nie)logicznej
będąc kobietą drugiej świeżości
nie zaproszę cię na wino
choć jak wino ponoć starzeją się te nieładne
oj nieładnie śmiać się się z pierwszoligowych diw
koleżanek od kieliszka do kieliszka
przecież męża znalazły pomiędzy łózkami
więc śmieć się głupia śmieć
wolę osobno
zamiast rzeczowej ontologii
i rozmowy starej jak najstarszy zawód świata,
gdy z zawodu wpatrujesz się szerokim wzrokiem
w kino spływające łzami z obrazów
bijących w rytmie *let's do it*
like they do it on disco-very channel

pierwsza lekcja

panna B. miała lat czternaście.
różowa świnka o perkatym nosku.
Nigdy w życiu – powiedział,
a dzieciaki zawyły.

W wiadomościach podali,
że wybuch, małe miasto,
ludzie jeszcze mniejsi.

Raj jest pełen różowych świnek,
którym spełniają się marzenia.

rozpady

spowija strzępy sukni
pomięta niewyspanym świtem
układa wyraz twarzy w moll
między wersjami morowej panny
skazuje libido pięknych słów
na skreślenie porankiem
brzask ustala datę ważności z powagą
podstarzałego kopisty kabareciarza
recytującego modlitwę ze szkła
papierowej samotności

uwważaj

nie roń więcej pragnień swoich tak naocznie.
słodko-gorzki wieczór budzi stare żądze.
namiętniej! jak oczy zazdrosne czy łuska w przelocie
zrzuciona, przypadkiem – brzmisz coraz żarłoczniej!
zostań! nim zadnieje, odhacz fantazmaty,
noce zapisane piórem samotności.
niechże już szaleństwo wśród nas się rozgości!
wypijmy, nie licząc na kolejne puenty.
te będą pytaniem - czy mówić, gdy w słowach,
kły szarpia trzewia, serce łka o lirę?
nie mów więcej, proszę, chcę tkać znowu wiosnę,
pogubić złudzenia jak szaliki w zimie.

tu i teraz

Niedołężnie ufamy, choć wiatr fauluje
nawet mocne drzewa, a sarkazm trąci fałszem,
gdy nie ma na tytoń.

Odchodzimy. Od nałogów i ludzi.
Stawiamy ołtarze złudzeniom podstępny
jak kochanka w małżeńskim łożu.

Zapomnij o Arkadii. Nigdy nie było tamtego lata.
Piękno nie nagradza klakierów, a grzech nie istnieje
tam gdzie miłość we krwi.

Święta jest rezygnacja, która błogosławi niedostępnym
ścieżkom.

Niech poranek porcelanowych marzeń złagodzi ciosy
zbyt prostych sądów zbyt prostych bliźnich.

Po wieki wieków. Po ostatni oddech.

ziemia obiecana

ciało lśni żywicą, uda jako dzbany.

różem pną się piersi od ust do języka.
czerwienią się głoski, płaczą z pożądania
frazy, powtórzenia, onomatopeje.
gdzieś ty teraz panie? czy kiedy wypowiem
om - wieczną sylabę - głośno i dobitnie,
skalę twą odnajdę? a ty imię moje
zapiszesz nie pragnąc znaczenia zacierać?
kto wiatr sieje, ginie od razów gałęzi,
bycia na językach. lecz nim wilcze ostrze
spuści kciuk pogardy - pozwól dotknąć żebra!
takie ze mnie zwierzę, że może uwierzę.

w didaskaliach

brniemy ślepo, dopóki marzenia
w upojonych oczach błyszczą pełne glorii.
na drodze do szczęścia kolejne zniszczenia
niweczą naiwne spojrzenia młodości.

między popielniczką a słodzoną kawą,
myślę, czy możliwym było ja i ty.
gdy cytrynę kroję lub obiad przyprawiam,
czekam, aż zawitasz i u moich drzwi.

czy mirażem tylko się omamiam,
gdy loterii losu nie chcę oddać praw
i jak zwierzę pod strzelbę słowa swe wystawiam,
licząc się z sarkazmem ludzkim zamiast braw?

gdy przychodzi czas spokojnej toni oraz portu,
kiedy maszty składasz i okręt cumujesz.
oddech równy ma tyle uroku,
że już nawet szumu fal nie potrzebujesz,

czy nie zdarza ci się zatęsknić za wiatrem,
który wznieci burzę jak za dawnych lat?
puścić wodze pragnień skrytych za parkanem,
klatką, która chroni twój podskórny świat?

nie mów, że go nie masz – jest on w każdym z nas!
Zapisany w sztuce, by ukrywać tropy
i między wierszami namalować czas,
gdy bez obaw przyjdzie odkryć bosą stopę.

jeśli więc znów wolność wezwie cię do lotu,
wzniesiesz skrzydła dzisiaj kruche od niemoty,
pieśń panny zanucę wyrwanej z potrzasku.
jeśli tylko zechcesz, będzie jakieś potem.

z pamiętnika szmacianki

papierowy książkę

nie potrzebujesz wierszy
metafor prosto w twarz
procent za procentem zapominam
dziś tylko drobne pociągnięcia
piórem bez odsetek łez
wystarczy ręka boga dla wybranki
i *czarne puste serce* na policzku.

sporty ekskremalne

pod ostrzałem odpowiedzi
usta przy ustach szepczą:
byle utrzymać ten stan
i dojść. do regresji, łona,
najczęściej donikąd.
nie czas na podchody.
liga zmieniła barwy na ochronne.
remisja. eksmisja. remis.
gest kozakiewicza na koniec końców.
chodź! do wiersza wolnego!

upływy

ile skrzyżowań, by dojść do prostej,
bez śladu zniknąć. lewym sierpowym
skosić los.
ile prawd na drodze bolesnej
jak ziarno przekwitłe. wykolic błask
zmęczonych oczu.
ile krzyku, by usnąć wrózkę staruchę,
w szaty Wendy przebraną. zanim Piotr
wykracze amen.
pijana strachem sypię popiół
w zimowy wieczór. wskrześ,
gdy ubędzie kamieni.

echem

Noszę łachmany z second-handu,
jak miłość, która zawisła na drzewie.
Wieszaki uginają się pod ciężarem
wczorajszych uniesień i wyblakłych
kwiatów.
Hej Joe! Dokąd teraz pójdziesz, gdy
kule w twojej dłoni zmieniły się w kulki
papieru, którymi trafiasz do kosza kolejnej,
nudnej konferencji.
Wielki Kanion zobaczysz w telewizji,
nie rozedrzesz szat w imię wolności.
Może kiedyś, gdy już się dorobisz,
kupisz motor i założysz znowu glany,
zostawiając po drodze zmasakrowanych

maluczkich w kamaszach.
Wypijmy za drugą młodość,
born to be wild! Beasts!